NUMER 15. DNIA 10. KWIETNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN. 2)

HERKULES NOWOŻYTNY.

Z tych rzeczy, które mu wyobraźnia naprzód malowała, spotkał jeno w rzeczywistoci gościniec bity i osiedla, nie zawdy po obu stronach. Bicz miał wprawdzie, ale nie umiał z niego strzelać — przekonał się, że i tu trza było sztuki, ostatecznie mógłby ją był ćwiczeniami nabyć, szkapy jednak miał tak liche, że o jakiemś paradowaniu rycerskiem nie było i pomyślenia.

I dość prędko furmaństwo stało mu się nędzą, słowem o małej literze, jak zresztą każde insze z bliska obaczone państwo — gałgaństwo — cygaństwo.

Wnet też przestał je nazywać swoim powołaniem, a nazywał je posępnie swoim przeznaczeniem, zanim z kolei, przy ciężkich westchnieniach, nie zaczął nazywać je swoją niewolą. Bo to tak naturalnie szło...

Już dawniej, jak się rzekło, przyszedł nasz Kurzawa na to, że niema sprawiedliwości. Teraz, jeżdżąc światami, tem jaśniej to spostrzegał; najbardziej to zaś uczuwał na swojej skórze katolickiej, choć nijako nie cliwą miał na różne biedy.

Doszło do tego, że zatrzymał raz szkapy na otwartej drodze, jakby mu nagle coś wpadło do głowy, i zapytał się stanowczo:

— Poco ja mam tak jeździć?

Nikto mu nie odpowiedział. Więc westchnąwszy dość ciężko, popędził szkapy i ruszył. Jadąc zaś dalej, dumał:

— Tu ktoś winien...

Już nie myślał, że „tu każdy coś winien“, jak przedtem, bo, siebie sprawiedliwym widząc, sądził, że podobnych mu musi być choć trochę ludzi — bowiem inaczej jakożby świat istniał? Przytem, jako człek w sercu bogobojny, nie miał nigdy takiej pychy, żeby się zgoła inakszym od wszystkich ludzi miał widzieć.

Przecie, jeżeli nie czem inszem, to siłą swoją mógł się pysznić, a w myśli mu to nie stanęło; wzrostu zaś to się nieraz i doprawdy wstydził, znalazłszy się na oczach wielu, naprzykład w kościele, gdy klęknąć nie było rady wśród ścisku dużego. Dlatego to winić wszystkich mógł chyba jedynie wtedy, gdy głód mu po katolicku uczciwie pomyśleć nie dał.

Jadąc pomału, z przekonaniem coraz to mocniejszem, jakby mu się lżej przez to czyniło, powtarzał w koło:

— Tu ktoś winien...

I podszepnęło mu nie wiedzieć co, że winni tu niesprawiedliwi ludzie.

Tego mu właśnie trza było. Takie to proste mu się zdało, takie nikogo i wielu oskarżające... W sam raz rzetelna odpowiedź. Wydało mu się wprawdzie, że on już to samo wiedział, ale teraz mu właśnie trza było, by mu to ktoś przybaczył i, przybaczając, potwierdził, że to tak jest istotnie, nie inaczej.

Dumając nad tem, z gorliwości jeszcze o sprawiedliwość rozszerzył:

— Wszystkiemu winni niesprawiedliwi ludzie.

I w tym już ostatecznem przekonaniu ostał.

Ta wiara mu się taką pełną zdała, taką wszystko tłumaczącą i obejmującą, iż już nic do owych słów dodawać nie myślał. Była to w sam raz dla Kurzawy wiara; on bowiem zdawna gorliwym był

o sprawiedliwość, jeno nie znał, skąd jej się krzywda najciężliwsza dzieje. Skoro więc poznał, rozgorzał w poczciwem sercu, przeciągnął ciężkie ramiona i poczuł się w sile.

Znalazł nareszcie ostoję dla siebie i oparcie w tem dziwnie pogmatwanem życiu. Chodziło teraz jeno o to, aby podług tej wiary żyć i czynić.

Ku temu przeszkód dużych nie spotykał, ba, okazje sposobne same mu się nawijały, jako dzień za dniem jeżdżącemu. I oto jednego dnia napotkał koło karczmy przydrożnej dwie partje bijących się chłopów. Stanął, zlazł pomału z wozu i, okręciwszy lejce koło luśni, przystąpił poważnie ku nim. Ci, obaczywszy przed sobą olbrzyma, gdy nie wiedzieli jeszcze, za kim stanie, rozpadli się na dwie strony i zaprzestali bitki. Wtedy Kurzawa począł sąd. Rozpytał się pomału, o co którym chodzi i, rozsądziwszy w swym rozumie sprawę, kazał ludziom sprawiedliwym nie ruszać się z miejsca, sam zaś podszedł ku stronie, którą za winną osądził i począł skraja prać... Jezusie! Takiego sądu uczciwego jeszcze nikt z ludzi nie widział.

Chciał on tych niesprawiedliwych pokarać w miarę ich winy, ale się miara straciła, gdy karę zapoczął. Gorliwość jego ręką kierowała — gorliwość święta, z tyloletniej uwięzi zerwana, zasłaniająca mu oczy na sińce karanych i uszy na ich jęki. Już nikt oporu nie stawiał, a on się jeszcze srożył. Już stracił z oczu ich winę i widział jeno przed sobą niesprawiedliwych ludzi i tych karał za sprawiedliwość cierpiącą, za siebie — w końcu już nie wiedział za co i za kogo, gdy mu gniew święty uwagę zatopił. Wreszcie się opamiętał, skoro już nikogo przed sobą nie zauważał, bo niesprawiedliwi wszyscy leżeli jako barany, a sprawiedliwi uciekli przed końcem sądu, bojąc się w przezorności, by się ten olbrzym zjuszony, skończywszy sprawę z tamtymi, ku nim nie zwrócił na ostatku w oślepłem zapamiętaniu. Poczem podszedł do wozu pijanym jakby od wzruszenia krokiem, odkręcił od luśni lejce, wsiadł do półkoszek i pojechał.

Odtąd trafiały mu się częste okazje. Bo już miał oczy wzwyczajone do wyszukiwania ich wśród zgiełku zdarzeń. Nieraz gromady całe napotykał, zwłaszcza podczas jarmarków lub wesel, nieraz jeno parę ludzi koło miedz przy drodze, ale tygodnia nie było, żeby nie miał sądu; sądził zaś sposobem prostym, jak się przytoczyło wyżej.

A że, sądząc jedynie z opowiadań ludzi, pomylił się nieraz i prawdziwie w jakiemś zdarzeniu niewinnych pokarał — ha, no, to trudno; ludzka rzecz mylić się w sądach.

I miał Kurzawa zadowolenie w swem sercu i nie czuł już tak ciężko swej niewoli, gdyż żył i czynił podług wiary swojej. (D. n.)

FELIKS GWIŻDŻ.

Już opuściłem cichy brzeg.

Już opuściłem cichy brzeg,
Wśród fal szaleje moja łódź — —

Straszny mój bieg:
— Bo chciałem morskie fale pruć,
Głębinom patrzyć śmiało w oczy,
Tęsknotę przekląć, zabić żal
I spalić ból —
I tak, jak zimny, skalny król
Płynąć w nieznaną dal
Pośród zamroczy...

Lecz oto próżny był mój trud,
Daremny bój:
Uległa wola moja woli złud!...

— — Nad morzem wiszą ciężkie mgły,
A morze huczy, szaleje — —

Gdzieżeście moje sny?
Gdzieżeście moje nadzieje?!

— — Burza porwała moją łódź — —
A chciałem morskie fale pruć,
Głębinom patrzyć w oczy śmiało — —

Gdzieżeście moje sny?
Gdzieżeście moje nadzieje?
— — Nad morzem wiszą ciężkie mgły,
A morze huczy, szaleje — —

...Kiedyż, o serce, będziesz przeklinało?!...

Zakopane.

Światła i cienie Anglji.

I.

Co trzy lata, na początku marca, odbywają się wybory do „rady hrabstwa londyńskiego“. Historycznie a po części i administracyjnie tylko część stolicy angielskiej stanowi gród — *City* — londyński, obdarzony ustrojem i przywilejami korporacji średniowiecznej. Około *City of London* ugrupowały się wsie liczne, a nawet grody, jak *Westminster* lub miasta, jak *Tower Hamlets*, każde z nich mające inny zarząd, inne porządki i inne znaczenie w życiu parlamentarnem kraju aż do 1832 roku. Wytworzył się więc aglomerat miejski, zwany Londynem; śródmieście, rodzaj rynku handlowo-finansowego, to dawne *City*, mające swe prawa korporacyjne, swego burmistrza (lorda mayora), swą zdemoralizowaną administrację cechową, swych radnych, żywiących się groszem publicznym i t. d. Reszta stolicy była zarządzana przez niemal że setkę różnych komitetów, rad po części wybieralnych, po części mianowanych przez rząd centralny. W zarządzie miejskim stolicy nie było — a po części do dziś dnia nie masz — jedności. Pod względem administracyjnym Londyn przedstawiał sobą olbrzymi nowoczesny skład towarów, strzeżony przez 5 miljonów ludzi, a nad składem tym, budowy potwornej, piętrzyły się wieże i wieżyczki o śmiesznych, bo sztucznych i bezduchowych, konturach gotyckich. Londyn, to zabawny perwenjusz mieszczański w kostjumie karnawałowym rycerza średniowiecznego.

Pod naciskiem wszakże myśli demokratycznej odebrano tej maskaradzie możność szkodzenia. W samej rzeczy, w 1888 roku uchwalono utworzenie mniej lub więcej jednolitego zarządu stołecznego. Na wzór rad hrabstw w kraju całym, stolica otrzymała swoją radę. Śródmieście zachowało wprawdzie swe dawne przywileje korporacyjne, ale nowa rada hrabstwa londyńskiego zapanowała nad tym oceanem gmachów i domów miejskich, nad temi rozlanemi około śródmieścia wodami grodzkimi, które noszą ogólną nazwę Londynu. Rada ta została wybieralną i jako zdobycz myśli demokratycznej pozostała także fortecą gospodarki demokratycznej. Od 1889 roku postępowcy dążą do rozszerzenia działalności nowej rady, podczas gdy zachowawcy albo umiarkowani starają się o ścieśnienie pola akcji dla nowego tworu samorządu miejscowego. Do dziś dnia postępowcy mieli zawsze większość w radzie hrabstwa; większość tę utrzymali w tylko co odbytych wyborach, przy których wybrano 83 zwolenników reformy przeciw 35 zachowawcom. Ilość radnych wszakże jest większą, gdyż wybrani rajcowie dobierają sobie tak zwanych *aldermanów*, to jest starszych; ogólna ilość członków rady dochodzi do liczby 138.

W porównaniu z wyborami z 1901 roku, tegoroczne wyniki głosowania nie zdradziły żadnego wzburzenia umysłów wśród wyborców. Tem niemniej są oddzielne przejawy, godne zaznaczenia. Oto John Burns, znakomity agitator robotniczy, przeszedł jeszcze raz zwycięzko przez walkę wyborczą, pomimo, że skrajni socjaliści nieśli pomoc zachowawcom w zwalczeniu tego zasłużonego szermierza demokracji. Sydney Webb tym razem nie miał wcale przeciwnika; zasługi Webb'a na polu oświaty i szkolnictwa są tak wielkie, że bytność jego w londyńskiej radzie szkolnej stała się już niezbędną. Drugi umiarkowany socjalista, Bernard Shaw, którego lwowianie znają i z teatru, nie został wybranym; co gorsza: mandat, o który walczył, przeszedł do zachowawców i stracony został dla stronnictwa postępowego. Natomiast postępowcy zdobyli nowe mandaty w tych okręgach, gdzie osiedlają się przybysze żydzi z Polski i Litwy. Jeżeli zważymy, że nazwisko Rotszylda było na odezwie, zalecającej kandydatów zachowawczych, i jeżeli nie spuścimy z uwagi faktu, że wyborcami byli żydzi „stateczniejsi“, którzy się już naturalizowali, to garnięcie się żywiołu tak jeszcze mało przyzwyczajonego do życia politycznego do polityki postępowej, wskazuje, jak ożywczą jest myśl demokratyczna i praktyka swobody.

A skłonna do reform społecznych rada jest niezbędną teraz dla Londynu, gdzie idzie o nowy krok naprzód dla rozwiązania kwestji mieszkań w stolicy angielskiej. Już dotychczas działalność rady pomogła 21.000 osobom przejść z nędznych, niezdrowych lepianek do hygjenicznie urządzonych domów. Rada hrabstwa londyńskiego wydała już na kwestję mieszkań około 85 miljonów koron, ale praca ta ledwie zagajoną została. Faktem bowiem jest, że co noc przeszło 2000 osób jest bez dachu i „spaceruje“ zimą w chłodzie i o głodzie po pustych ulicach stolicy. Przeszło 23 tysięcy ludzi szuka co noc schronienia w „przytułkach nocnych“, z których połowa, co najmniej, daje legowisko a nie godne człowieka miejsce spoczynku. Otóż rada stolicy chce się zająć tymi, którzy nie mają swego kąta, — chce poprawić los tych, których mieszkania są zbyt nędzne.

Rada hrabstwa londyńskiego zresztą już nie jednej dokonała reformy. Rozwinęła ona szkoły techniczne dla ludności rzemieślniczej, utworzyła pralnie publiczne, wykwintne kąpiele dla mas ludo-

wych, zdwoiła ilość skwerów i parków w stolicy. Przed 10 laty jeszcze parki te były zaniedbane; dziś nawet zimą nęci porządek i ład. A latem, gdy natura budzi się do życia, śmieją się w tych parkach kwiaty różnobarwne, zieleń starannie utrzymana budzi u znużonych nadzieję życia lepszego, a dźwięki muzyki bezpłatnej przypominają wszystkim, co polityka reformatorska dla przyszłości lepszej zdziałać może.

Rada hrabstwa zajęła się też tramwajami, omnibusami i tanimi pociągami robotniczymi. W ten sposób rada ułatwiła robotnikom znalezienie tanich domów mieszkalnych, z których pociągi niemal że błyskawiczne ułatwiają ludności robotniczej znalezienie pracy w innych okręgach miejskich.

Ale rada hrabstwa londyńskiego przeprowadziła także i inne reformy pierwszorzędnej wagi. Do roku 1889 nie było w Anglji kontroli wag i miar przy sprzedaży węgla, chleba i t. d. Otóż rada hrabstwa londyńskiego zaprowadziła dla Londynu inspektorów, których zadaniem jest kontrola miar i wag. Obliczono, że ludność stolicy była przedtem okpiwaną przy kupowaniu węgla na 12 miljonów koron rocznie. Jasna, że bogaci ludzie, kupujący hurtownie i w wielkich składach mieli dobrą wagę; ale drobni mieszczanie, biedacy byli ofiarą handlarzy drobnych. Piekarze nie byli uczciwszymi od węglarzy; dosyć zaznaczyć, że nawet w roku ubiegłym, pomimo rozwiniętej już i ustalonej działalności inspektorów, znalazło się 239 piekarzy, ryzykujących dla zysku nieuczciwego wdrożone przeciw nim postępowanie karne.

Wreszcie wspomnijmy jeszcze o regulaminie rady hrabstwa, nakazującym, by we wszystkich handlach kobiety usługujące miały krzesła i możność odpoczynku. Wiadomo, że ciągłe przebywanie „na nogach" działa ujemnie na zdrowie kobiet; rada więc londyńska, wychodząc z założenia, iż opieka zdrowotna wchodzi w zakres jej czynności, wydała regulamin powyższy, mający moc obowiązującą dla całej stolicy.

Piętnaście lat samorządu miejscowego, opartego na zasadach demokratycznych, dało ludności stolicy angielskiej niejedną reformę i wiarę przedewszystkiem w stały rozwój ku lepszemu. Zaliczamy więc *London County Council* do tych promieni świetlnych, które przyświecają życiu mas angielskich, — świateł, które ukazują drogę ku nowym horyzontom.

Sygma.

JAN ŚWIERK. 15)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Cztery miesiące jestem już świadkiem życia cioci i przekonałam się, że ani jedna prawie suknia nie była dana do roboty z terminem, dajmy na to, tygodniowym, ale każda z pań woła: — Prędko! prędko! prędko!

Dlaczego tak prędko? Palą się tak niecierpliwością serca do nowej bluzki, do długiego szlafroka, do modnego kostjumu, a czemu nie wołają tak samo „prędko", „prędko", do oświaty, do postępu, do rozwoju myśli, do budzenia ducha...

Ile to troski, narady, namyślania się, czy koronkę dać w lewo czy w prawo, a jakże mało rozwagi nad tem, czy dzień życia nie zmarnowany próżniactwem i rok życia nie przepędzony bez żadnego plonu dla drugich...

Dawno już szary mrok wieczoru zmienił się w noc ciemną, a ja jeszcze siedzę w kątku saloniku na małej sofce i rozkoszuję się tem, iż cicho, spokojnie i świątecznie.

Co to za urok Święta!... Ten sam dom, zawsze i wiecznie huczący turkotem kół maszyn, rojny od ludzi zapracowanych mozolnie, pozbawiony ciszy i spokoju, nie mający ani tchnienia estetyki w sobie, przecież teraz spoczywa i nie jest już kuźnią mody, tylko z mody i zawsze modą żyjący...

Nie świecę lampy...

Czytać nie chcę, oczy po tych nocach nad igłą zmęczone, niech także spoczywają...

Maryśka może już z nieszporów wróciła, bo słyszę jakiś ruch jakby w kuchni.

Jancio i Adaś dziś są także na wizycie. Zaprosił ich ojciec chrzestny. Jancio już wreszcie ma w nowej sukience dziurki i guziki, na co długo czekał, ale Adaś martwił się srogo, bo nie miał kołnierzyka.

Ciocia chciała mię brać do Rzepkowskiej, u której będzie osób kilka, ale wyprosiłam się.

Po co mi znajomości tutejsze?

Jestem tu jak ptak przelotny.. przyszłam z innego świata, wrócę do niego.. inni tam ludzie, inne cele. Wprawdzie te popadianki, leśniczanki pustką swych myśli i papuzią duszą łaknące strojów, podobne są bardzo do tych lalek, które widuję w mieście, ale ja im wybaczam.

Kobiety o wykształceniu ludowem, o pretensjach „wyższych" mają wad wiele, ale charaktery są silniejsze i cnota czysta..

Tutaj ujrzałam co innego. Niestety.. zrozumiałam wiele rzeczy..

Cztery miesiące życia w wirze miasta już zrobiły wiele. Dowiedziałam się o takich rzeczach, o jakich na wsi nikt nie mówi.. zmęczyłam się pracą nadmiernie i — jestem często smutna.

Jeszcze styczeń, luty, marzec..

Liczę prawie na palcach, ile miesięcy trwać tu muszę do wakacji, gdy słyszę głos Stacha:

— Jesteś tu, kuzynko?

— Jestem..

— Czemuż tak w mroku nocy?.. czyś smutna?

— Nie wiem istotnie, smutek, zmęczenie czy tęsknota ogarnęły mą duszę, ale czuję coś do nich zbliżonego..

— Dlaczego nie postarałaś się o jaką rozrywkę na Święta.. mało ich używasz, potrzebne są nieraz, zwłaszcza dla młodych.

— Pierwszy raz słyszę propozycję szukania rozrywki, przyznam ci się. Odkąd przybyłam tu, porwały mię tak rozliczne troski w swoje koło, iż wiruję w niem, jak szalona.. z dnia na dzień, z nocy w noc, iż dopiero dzisiejszy dzień dał mi tyle chwil wolnych i tyle tchnienia ciszy, że mogłam usiąść w kącie i myśleć trochę. Istotnie, ja tutaj jeszcze jednej chwili rozrywki nie zaznałam.

— Wszak miasto zawsze jest niewyczerpane w tem wszystkiem, teatra, koncerty, odczyty, zebrania towarzyskie, ślizgawki, rauty..

— Ale dla kogo to?..

— Jakto dla kogo? Kto chce, może się bawić, są rozrywki dla wszystkich warstw, sfer, klas..

— Trzeba mieć na nie czas i pieniądz, a ja nie mam ani jednego, ani drugiego.

— Niedzielny dzień każdy przynosi przecież parę godzin..

— Po tygodniu, przepędzonym wśród ciągłego mozołu, w niedzielny dzień żąda się tylko snu dłuższego i bezczynnego siedzenia w kątku.. a troski z czoła nie płoszą się z nastaniem niedzieli, jednakowo jak w każdy dzień smucą i męczą.

Chwila milczenia. Stach przechadza się po saloniku, ja trochę dąsam się w duchu, że mi przeszkodził w dumaniu, ale trochę i cieszę się, iż pogadam z nim, bo rozmowa ta nie nudzi.

Wstałam, zaświeciłam lampę i znów usiadłam w kątku kanapki.

Stach przysunął fotelik.

— Czy ty kiedy kochałaś już? pyta ciekawie.

— Jakto?.. czyż gdybym nie kochała, byłabym tu?

— Więc zawiedziona miłość pchnęła cię na te wielkie drogi?

— Zkądże zawiedziona? co myślisz?..

— Naturalna logika. Straciwszy nadzieję wyjścia za mąż, zapragnęłaś być nauczycielką, tak wiele robi.

Spojrzałam chmurnie.

— O czem ty mówisz? czego chcesz?.. o jakiem małżeństwie mówisz?..

— Wszakże powiedziałaś, iż przez kochanie tu do miasta na naukę przybyłaś.

— Nieinaczej. Rzuciłam wieś, wcisnęłam się w to ciasne, kamienne miasto, w którem już bardzo mało miejsca, po to tylko, aby stać się dla wsi pożyteczną siłą, aby wróciwszy do wsi służyć sprawie oświaty całą duszą..

— Takie twe kochanie, rozśmiał się Stach, zanadto idealne, za górnolotne, trochę naciągnięte egzaltacją, ale ja pytałem o inne, zwykłe kochanie kobiety..

— Dlaczego o to pytasz?..

— Przyznam ci się szczerze, robisz na mnie wrażenie oryginalne, jesteś inna.. nie podobna do tych, z któremi bawiłem się, dlatego zdaje mi się, gdybyś miała serce zupełnie wolne, starałabyś się o znajomości, zdradziłabys trochę kokieterji.

— Najzupełniej jestem obojętna na takie rzeczy. Miałam na wsi niby to wielbiciela, jak mama mi mówiła, młodego jednego nauczyciela, ale tego pożegnałam bez jednego westchnienia. Tutaj jak widzisz — nie kokietuję..

— Więc dobrze twierdzą niektórzy psychologowie, powiadając, iż wiedza zabija serce w kobiecie — jesteś umysłowo wysoko wyrobioną osobą, ale w uczuciach zdajesz się być zimna..

— Czemże to przymierzyłeś ciepło mego serca?.. Czy jeśli nie mówię o kochaniu siebie w drugim, jeśli nie unoszę się nad tem uczuciem, nie wytężam sił wiele na to, aby podobać się, rozkochać kogo w sobie, to ma znaczyć, żem wystygła w uczuciu?.. O!. nie znasz mię zupełnie.. a zresztą niepotrzebna cała ta rozmowa, byłeś trochę za śmiały przez samo postawienie tego pytania, a ja nierozważnie odpowiedziałam.

Wstałam, zbliżyłam się do okna, patrząc na ruch w ulicy. Śnieg padał gęsty. Światła latarni rzucały długie cienie osób przechodzących, w oknach kamienic z przeciwka widać było płonące choinki.

Wpatrzona w to wszystko, czułam się niezadowolona.

— Po co przyszedł? po co takie pytania?..

Stach po kilku minutach zbliżył się do mnie.

— Może być, iż uraziłem cię poruszeniem tej kwestji, przepraszam więc.

— Ale dlaczego pytałeś?.. Chciałeś rozmawiać ze mną, a nie wiedziałeś o czem, więc myślisz sobie — z kobietą o kochaniu — prawda?

Ale on wyprostowawszy się, odrzekł bardzo poważnie:

— Nie! Miałem cel inny, lecz już się nie przyznam.

— Tylko proszę cię, nie twierdź nigdy, iż wiedza uczucie w kobiecie zabija, bo ona tylko czyni z uczucia rzecz czystszą i świętszą, nie daje go ani na igraszkę, ani na targowisko, bo wiedza zmienia samolubne uczucia w ukochanie większe i szersze koła zakreśla.. Zresztą, o miłość nie godzi się pytać — należy ją poznawać po czynach.

— Przyznaję ci słuszność. Może być, iż sprawiłem ci przykrość, będę teraz ostrożniejszy.

Po niedługiej chwili wyszedł, bo był zaproszony do kogoś na wieczór.

Gdy ciocia nadeszła, pyta mię:

— O czem Stach z tobą rozmawiał?.. spotkał mię i powiedział: — zgniewała się na mnie Jadwinia, więc uciekłem.

— Ot, powiedział byle co. Jakże się ciocia bawiła?..

— Bardzo przyjemnie, nawet nie spostrzegłam, iż tak już późno. A więc jeden dzień Świąt minął. Przejdzie drugi i już znowu spoczynku nie będzie.

Dwa dni miała ciocia wiele roboty z wyprawieniem wujcia. Dostał gdzieś dalej zajęcie niezłe, wyjeżdża więc dziś na noc. Ciocia przygotowywała bieliznę, ubranie, wujcio gniewał się ciągle, że wszystko złe, bielizna nie nowa, koszule grube, ubranie liche. Potem rzucił wszystko na ziemię, powiedział, że nie pojedzie, wreszcie po kilku jeszcze scenach wybrał się.

Co to za mężczyzna bez pracy? Ciocia upada, mdleje prawie pod ciężarem trudów ciągłych, a on nie robi nic i jeszcze grymasi.

Takiego okazu leniwca nie spotkałam nigdzie.

Zdaje się dlatego tylko ożenił się, aby miał kogo, kto na niego pracować będzie. Zrobiła też ciocia los świetny, niema co mówić!

Ale nie jedną ciocię widzę tu w mieście w takich warunkach. Mam koleżankę w seminarjum, której matka ma szkółkę freblowską, ojciec zaś — tylko z knajpy do knajpy, a w domu awantury wyrabia.

Dziewczę naturalnie nie zdradza się z tem, ale dowiedziałam się od innej osoby.

Jedna z dziewcząt, przyjętych teraz u cioci na praktykę, ma matkę kasjerką w jakimś handlu, a ojciec był kelnerem, lecz od lat trzech nic nie robi..

Więc taki wynik pracy kobiet, iż mężczyźni zleniwieli i na utrzymanie żon spuścili się..

Nie mogę pojąć, jak kobiety te mogą cierpieć podobne krzywdy.. Straszną rzeczą wydaje mi się, gdy mężczyzna przepracowuje się, a kobieta wszystko traci, lecz jeszcze gorszą podłością jest, kiedy mężczyzna próżniak z pracy żony żyje..

Po wsiach tego nie widziałam. Wogóle tam próżniactwa niema, bardzo mało gdzie znajdzie się okaz taki. Wszędzie jest wspólna praca, kobiety zarówno z mężczyznami pracują na roli, przy gospodarstwie i dlatego tam ludzie są szczęśliwsi i lepsi. O!.. że lepsi — stanowczo twierdzę!

(C. d. n.)

Słów parę o książce „Twórcy bogów“

p. Witołda Schreibera.

Pan W. Schreiber wydał niedawno książkę o 352 stronicach druku, pod tytułem „Twórcy Bogów“, zaznaczając zaraz na wstępie bardzo skromne zadanie, jakie sobie założył; oświadczył mianowicie, że chce odsłonić choć w części tajniki wierzeń ludowych, a zarazem okazać w najgrubszych chociażby zarysach surowy materjał, na którym myśl ludzka rzeźbiła swoje religijne wierzenia.

Ciekawiśmy byli usłyszeć sąd „kompetentnych krytyków“ i poznać wrażenie, jakie na tych ostatnich wywarła książka, o której mowa. Z oceną wystąpiło „Słowo polskie“; czytając tę ocenę, widzimy jednak, że krytyk wygląda, jak gdyby sam dobrze nie wiedział, co ma z fantem zrobić, z jakiej strony ma do niego przystąpić, czego się tu uczepić. Jeżeli wolno zrobić porównanie przyrodnicze, to powiedziałbym, że mamy tu przed sobą lisa wobec jeża. *„Qui y touche, s'y pique“* miał ciągle na myśli krytyk. To też poradził sobie w ten sposób, że podsunął autorowi myśl, jakoby książka jego „ma wyświetlić niezmiernie ciekawy problemat ewolucji s t o p n i a (chyba że gatunku) i rodzaju kultu bóstwa, następnie rzecz zbadać i wykazać c a ł y s z e r e g czynników, które

działały na formowanie się pojęć i wierzeń religijnych, ostatecznie ma określić dokładnie kierunek drogi do monoteizmu“. Jak widzimy, krytyk podstawił swoje myśli własne w miejsce myśli autora i stworzywszy w ten sposób grunt dogodny dla zaczepki, już dalej wiedzie bez przeszkody bój krytyczny. Rozpoczyna od tego oświadczenia, że „dać odpowiedź na to, czy autor w zupełności doszedł do własnych uzasadnionych wniosków i oryginalnych spostrzeżeń, wymagałoby, ze względu na ogrom zadania, chyba osobnej rozprawy naukowej“. Cały ten frazes jest czyste „radotage“, bo rozważmy, czy byłaby taka jego praca potrzebną; czy jest np. potrzebny własny uzasadniony wniosek na to, jeżeli ktoś powie, że ziemia krąży do koła słońca, a nie słońce do koła ziemi, następnie jak można żądać oryginalnych spostrzeżeń i badać, czy one są oryginalnemi, wiedząc o tem, że mieszkaniec stały miasta, dajmy na to Tarnopola, nie był, ani mógł być kiedy w Patagonji, w Australji, w Ziemi Jakutów etc. O sprawdzenie takich rzeczy nie ma się troszczyć krytyka, ma się tylko rozpatrzeć, czy materjał jest wiarygodny i czy wnioski są logiczne i prawdopodobne. Autor przedstawił materjał, czerpany z dzieł najwiarygodniejszych i objaśnił zdaniami, ogólnie dzisiaj przyjętemi w nauce, więc zaoszczędził krytykom pracy niepotrzebnej.

Krytyk w dalszym ciągu oświadcza, „że na ogół biorąc, książka omawiana robi raczej wrażenie pracy więcej recenzyjnej z całego szeregu znakomitych dzieł z dziedziny antropologji“. Tego ustępu krytyki nikt chyba zrozumieć nie potrafi, boć przecie wybór materjału nie jest recenzją. Załatwiwszy się w taki sposób z oceną ogólną, krytyk powiada, że temat tak zajmujący wymaga równocześnie wszechstronnego opracowania i nadaje się do wielotomowej, olbrzymiej pracy naukowej. Zbyt wiele bowiem zagadnień z rozmaitych dziedzin nauki łączy się z omawianym tematem, aby wszystkie można było wyświetlić i wszystko uwzględnić w jednym choćby dużym tomie“. Zarzut ten jest co najmniej nielogiczny, bo że jakiś temat nadaje się do wielotomowej olbrzymiej pracy, nie wyklucza jednak możności opracowania go dobrze i w jednym tomie. Można całą astronomję wyłożyć dobrze i przystępnie w małym tomiku, chociaż się ona nadaje do olbrzymich prac setnotomowych. Humboldt oświadczył, że gdyby człowiek chciał dokładnie poznać i opisać to tylko, co ręką własną przykryć zdoła na ziemi, to i na to potrzebowałby wiele lat pracy i całych tomów druku, a jednak jego „widoki natury“ w małej książeczce zawarte, obejmujące całą przyrodę podzwrotnikową, są klasyczne i niedoścignione w swej precyzji. Najniesprawiedliwszym ostatecznie jest zarzut, uczyniony przez krytyka, że autor podjął zadanie zbyt wielkie; wszakże on tego zadania wcale się nie podejmował, więc nie miał zamiaru wykazać dokładnie nieuchwytnej łączności i podawać nieznanych przyczyn, jakie kierowały pochodem myśli ludzkiej, których to rzeczy wymaga krytyk od autora. Co do nas, to jesteśmy wdzięczni autorowi za to, że nie sięgał po rzeczy niepochwytne, nie gonił za nieznanemi przyczynami, jak i z racji tej, że nie wzlatał ponad rzeczywistość, nie budował luster wielotomowych, olbrzymich, że natomiast w małej treściwej książeczce podał nam proste, rzeczowe i wierne zwierciadełko, przedstawiające straszne skutki nielogiczności, jaką popełnia zwykle umysł ludzki, gdy się nie wesprze na prawdach wiedzy, lecz da folgę swej chorobliwej wyobraźni, swej dziecinnej łatwowierności i swej zwyrodniałej obawie przed śmiercią.

Prof. Wiedersheim i prof. Miecznikow przedstawili w krótkich zarysach szereg organów szczątkowych w ciele człowieka, które świadczą o jego pochodzeniu od zwierząt niższych, niektóre z tych organów są wprost szkodliwemi dla nas, lecz pozbyć się ich nie możemy. Pan Schreiber zebrał i zestawił szereg mylnych wyobrażeń, fałszywych skojarzeń myśli, odziedziczonych i stanowiących szczątkowe organy naszego intelektu. Jeżeli się z uwagą rozpatrzymy w zwierciadełku, danem przez autora, to z goryczą i wstydem wyznać będziemy musieli, że jeszcze i dzisiaj myślimy tak, jak myśleli nasi ciemni prarodzice. Ale jeżeli organów szczątkowych, cielesnych, przy pomocy chirurgji pozbyć się nie możemy, to rzecz się ma odwrotnie z organami myśli naszych, tu chirurgja rozumu operować zdolna, pracą tedy naszego rozumu operacji dokonać możemy i dokonać powinniśmy, do takich operacji zwierciadło p. Schreibera jest wielce potrzebne, jest to „Psychoskop“, ułatwiający nam poznanie własnej duszy.

Dr. B. Dybowski.



Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Papée Fryderyk: Polska i Litwa* w ostatniem dwunastoleciu Kazimierza Jagiellończyka. Kraków 1904. Nakł. Akad. Umiej. Autor niezwykłej, ogromnie pracowicie i z talentem napisanej książki kontynuuje nieśmiertelną historję Długosza. Jestto snucie przerwanego wątku nie martwe, — lecz oparte na duchowem odczuciu ojca polskiego dziejopisarstwa i przejęciu się pewnymi punktami patrzenia na spółczesne wypadki. Kazimierz Jagiellończyk powstrzymywał Litwę przed hazardami, przed walką z Moskwą, której z zupełną samowiedzą poświęcił zadnieprzańskie kresy, mianowicie Wiazmę. Nie chciał zaborów ku wschodowi, nie pragnął dalszych aneksów w okolicach Pskowa i Nowogrodu, — aby nie zwiększać na Litwie żywiołu ruskiego, który i tak tworzył trzy czwarte ludności całego Gedyminowego państwa i groził litewszczyźnie zagładą... Argumentacja autora wydaje mi się logiczną. Unja była bądź co bądź świeżą polityczną formą, chwiała się jeszcze i wiele czasu miało upłynąć do jej ostatecznego ustalenia się i zcementowania. Na razie nie przebrzmiały usiłowania Witołda, dążące do oderwania Litwy i bunt Świdrygiełły, — istny ferment szyzmatyckiego świata nad Niemnem. Kazimierz wnikając w ducha rzeczy, omijał hazardy i wolał raczej trzymać się zasady: względem Moskwy defensywa, — nie ofensywa i tę myśl przekazuje następcom. Natomiast zwraca baczną uwagę na czarnomorskie kresy, rwie się do odzyskania zagarniętych przez Turków Kilii i Białogrodu, aby Polsce wrócić oddech do morza. Gdyby istotnie zamiaru dokonał, — Polska ochroniłaby się była w przyszłości od szarańczy tatarskiej i zdobyłaby ogromne ekonomiczne korzyści. Autor nie poprzestaje na szerokiem oświetleniu politycznych stosunków, — rozpatruje także wewnętrzny stan Korony i Litwy. Bilans poszukiwań smutny: pozory świetne, — rzeczywistość przykra, brak zupełny materjalnych środków. Nierównomierność rozwoju społecznego obu, unją złączonych państw, zwiększa rozstrój. Miasta litewskie przyjęły prawo magdeburskie wtenczas, gdy w Koronie zgotowały im szlacheckie sejmy upadek, — to samo litewski chłop nie urządził się na podstawie wiejskich ustaw niemieckich i zamienił się wprost z ruskiego smerda na polskiego „chama“.... Ten sam przejaw zaznacza się u góry. Feudalizm opanował społeczny ustrój litewski, gdy w Koronie był przeżytą formą..... Istotnie na każdym kroku wiele nowych poglądów, — różnych zgoła od dotychczasowych, niektórych nawet już zdogmatyzowanych, — benedyktyńska pracowitość i wszechstronne uwzględnienie źródeł, — w pierwszym rzędzie także rosyjskich. Książka w naszej literaturze historycznej niezwykła, — zapełniająca dotkliwą lukę z epoki chwały i mocarstwowego stanowiska Polski. *E. Łun.*

Juliusz Piasecki: Walka, powieść. (Biblioteka dzieł wyborowych). Trudno ująć w nieścisłe karby słowa przewodnią myśl utworu p. Piaseckiego. Jeśli słuszna, że żyć — znaczy walczyć, to tytuł powieści trafnym jest i dobrym. Treść? Gdybym powiedział: niezwykła — zgrzeszyłbym przesadą. Ale z pewnością niepowszednia i pobudzająca do myślenia. Bo treścią jest właściwie kobieta, kobieta w swej nieskończenie zawiłej mozajce psychicznej, kobieta — wieczna zagadka — od ewangelicznej prostoty i czystości anielskich wzlotów do brutalnych wyuzdań samicy, gnanej głodem krwi, pragnieniem sławy i kabotyńską żądzą tryumfów scenicznych. W rezultacie otrzymujemy obraz o kilku silnych, barwnie zharmonizowanych plamach, a z każdej z nich wygląda nowa twarz, nowa zjawa, oświetlona błyskawicowym blaskiem talentu, zrównoważonego w sobie, pewnego środków, którymi się posługuje. Znać, że jeśli nazwisko jest nowe, to jednakże osoba, która je przybrała, nie jest nowicjuszem. Znać to: w sile stylu, plastyce obrazów, wykończeniu scen, wreszcie w zaletach djalogu, który tryska strugą wartką i potoczystą, jakby umyślnie piętrzącą sobie trudności, by je z tym większym pokonać tryumfem. *tz.*

PISMA. Ostatni numer (3) „*Architekta*“ miesięcznika poświęconego architekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu, przynosi rozbiór najnowszej pracy architekty czeskiego Antonina Balszanka pt. „Szczyty i motywy attykowe w czeskim renesansie“. Dzieło to omawia szczegóły architektoniczne dawnych budowli czeskich ozdabianych renesansowymi szczytami i attykami, najpierw przez architektów włoskich, później zaś przez mistrzów swojskich pod wpływem Włochów. Konkluzja dzieła p. Balszanka jest następująca: „Że nasze dzieje, klimat, kultura etc. miały wielki wpływ na mistrzów włoskich, to nie ulega wątpliwości; z tego wzajemnego krzyżowania się kultur, wyrobił się w naszym kraju, podobnie jak w Niemczech, Francji, Belgji, Niderlandach i Polsce odcień stylu renesansowego, który wprawdzie ma znamiona swego pierwotnego stylu, jest jednak tak tutejszym, rodzimym i własnym, że go pozwalamy sobie nazwać *renesansem czeskim*“.

Nawiązując do słów powyższych, zauważa autor recenzji p. Ekielski: „Pomniki z XVI. i połowy XVII. wieku, rozsiane po naszych (polskich) ziemiach mają tyle podobieństwa z pomnikami czeskimi, że mimowoli przychodzi na myśl, czy u nas nie zachodzi potrzeba liczenia się w tym wypadku oprócz wpływów włoskich, także z wpływami czeskimi; rzecz byłaby do zbadania. Znając atoli przysłowiową ruchliwość emigracyjną naszych pobratymców, ich usposobienie mało krzykliwe, skromne, ale przedsiębiorcze... i wobec faktu podawanego przez historyków, że w XVI. wieku nawet język czeski był u nas modny i fakt, że Polacy niechętnie imali się budownictwa, możnaby przypuszczać, że możliwem jest, że to Czesi byli tymi, którzy importowali do nas tęn odcień, który, związany z kulturą naszą i klimatem, wytworzył u nas odcień renesansu, który my wogóle zwiemy polskim, względnie krakowskim“.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.